

MIEDZY NAMII ANINIANINAMI

NUMER 8/16

NIECODZIENNIK

SIERPIEŃ 2001

W imieniu redakcji:

Sierpień – urlopy, wakacje: wokół festiwałe, festyny itp. „lata z radiem.” A my wspominamy tamten sierpień, 57 lat temu, kiedy to przywódcy Państwa Podziemnego podjęli tragiczną decyzję, która w ówczesnych warunkach była jedyną możliwą. I raz jeszcze zostaliśmy zdradzeni, pozbawieni oczekiwanego wsparcia od tych, którzy mienili się naszymi sojusznikami. Dziesiątki tysięcy ludzi straciło życie,

zmienił się jego rytm, dla tych, którzy przeżyli. Znikła dawna Warszawa, legła w gruzach tak, jak nasze młodzieńcze marzenia o przyszłości. Publikujemy wspomnienia aninian z tego okresu, przeswiadczeni o ich wartości historycznej, godnej utrwalenia, chwili refleksji i zadumy.

Redaktor-ka

1 Sierpnia 2001

Jadę, jak co roku, na Powązki Wojskowe w 57 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Dla Warszawiaków to rytuał, bez względu na historyczne spory w ocenie powstania.

Godzina „W” – 1700. Wyją syreny.

To minuta pamięci i milczenia.

Niestety, nie wszystkie pojazdy stanęły w bezruchu, nie wszyscy przechodnie wstrzymali krok. To bardzo smutne.

Zmieniliśmy się, nie czujemy takiej potrzeby, a co gorsze nie czują jej jednośne władze miasta, do których zwróciło się kierownictwo związku AK-owców o zarządzenie 30-to sekundowej przerwy w ruchu miejskim i – spotkało się z odmową.

Przy pomniku „Gloria Victis” krótka, oficjalna uroczystość. Przemówienie, minuta ciszy; dookoła pomnika delegacje ze sztandarami poszczególnych ugrupowań AK-owskich, kwiaty, wieńce. I młodzież harcerska z ZHP i ZHR. Tłumy ludzi przeważnie starszych, ale i młodych nie brakowało, choć tych młodych powinno być więcej. W ostatnich latach w Polsce słabnie zainteresowanie historią, a to bardzo niepokojący objaw.

Ludzie w skupieniu, powadze i zamyśleniu przemierzają Cmentarz. Kładą kwiaty, zapalają znicze na powstańczych grobach w poszczególnych kwaterach. Moc światła przy pomniku „Gloria Victis” i Pomniku Katyńskim.

I ja kolejny raz zapaliłam znicz, pamiętając o zamordowanym w Kozielsku moim wujku.

Jacy byli Powstańcy Warszawscy?

To pokolenie wychowane w II Rzeczypospolitej przez wspaniałych nauczycieli-patriotów. Wychowane na patriotycznych idealach, w umiłowaniu Ojczyzny, w poczuciu odpowiedzialności za wspólny los. W powstaniu zginął kwiat AK-owskiej młodzieży, przed którą była szansa podtrzymania po wojnie ducha niepodległości w Narodzie. Niestety. Długo przemierzam Cmentarz, mijam mogiły z różnych miejsc i dat walk o Polskę i nie dziw, że budzą się wspomnienia z ubiegłych lat, kiedy ukradkiem zapalano świeczkę na tych grobach.

Dziś możemy bez obawy zapalać znicze tam, gdzie chcemy. Nawet w tym dniu pamięci narodowej, jakim jest 1 Sierpnia, widziałam zapalone światła na grobowcach moźnych ubiegłego okresu. I nikt nie posunął się do tego, aby zniszczyć te palące się znicze, co było stosowane głównie w latach 50-tych przez funkcjonariuszy UB w odniesieniu do powstańczych grobów, jak również grobów żołnierzy poległych w 1920 roku.

Hanka Orkisz

Sierpień 1944

Danuta Pyrżyńska-Żurawska

Dzień 1-go sierpnia 1944 roku zastał mnie w Aninie. Poprzedzony był nieprzespaną nocą, którą spędziłam w sąsiednim domu, gdzie można było skryć się w dobrze zabezpieczonych piwnicach. Ciemności tej nocy rozświetlane były wybuchami dynamitu, a ciszę mąciły potężne huki eksplozji. Ta dziwna kanonada w odwróconej kolejności: huk – błysk – świst przypominała oblężenie podczas natarcia walczących wojsk i w pierwszej chwili zmyliła mieszkańców, którzy chcieli się skryć przed rzekomym bombardowaniem. Tej nocy bowiem Niemcy wysadzali niedawno wybudowany tunel i solidną stację kolejową w Wawrze. Stacja była oddalona od mego domu o niecałe 100 metrów. Wiele odłamków dolatywało do miejsca mego zamieszkania.

Po wyjaśnieniu sytuacji, nadal przerażeni hukami i świstem, pozostawaliśmy w tym schronie-piwnicy.

Ranek 1-go sierpnia był słoneczny i ciepły. Ucichły wybuchy. Wyszliśmy z piwnic. Byłam tej nocy z kolegami, którzy już żyli przygotowaniem do zbiórki na „Godzinę W”, w Warszawie. Żegnałam wtedy Tadeusza Godziszewskiego i jego serdecznego kolegę, Michała Aniola Kopczyńskiego (zginął 4 sierpnia w Warszawie). Później odprowadzałam moją koleżankę, która z matką i młodszą siostrą, licząc na większe bezpieczeństwo w murach Warszawy, tam się kierowała.

Brat mój, Zbyszek Pyrżyński (ps. Denis), żołnierz AK (w randze ppor. przydzielony przez Dowództwo AK, do zgrupowania praskiego, pozostał na prawym brzegu Wisły (zginął w obozie niemieckim).

Hanka Orkisz

1 sierpnia 1944 r. – zamiast w Warszawie – zastał mnie nieoczekiwanie, z przyczyn ode mnie niezależnych, w Aninie, ale już nie w domu na ul. VIII Poprzecznej 2, ale u sąsiadów: Steinmetzów i Goryców na ul. VIII Poprzecznej 4.

Dlaczego?

Front zatrzymał się między Radością a Międzyzlesiem. Stacjonująca w Międzyzlesiu jakaś jednostka Wehrmachtu cofnęła się do Anina. Wybrano sobie dom pp.

Pieńkowskich na ul. VIII Poprzecznej 2, w którym oprócz innych lokatorów mieszkałam razem z mamą (bo ojciec już nie żył).

Dwóch oficerów niemieckich uprzedziło nas, mieszkańców domu, że mamy godzinę na opuszczenie swoich mieszkań. Przyjechali po upływie pół godziny, a sztab zajął mieszkanie. To stało się 30 lipca, o ile mnie pamięć nie zawodzi, w każdym razie przed 1 sierpnia.

Nie zagrzałyśmy długo miejsca u sąsiadów, bo chyba po dwóch dniach przyszedł rozkaz niemiecki, że mamy się wynosić, ponieważ cały Anin będzie wysiedlony.

Zatrzymałam się razem z mamą w domu księdza Godlewskiego, na obecnej ul. Trawiastej 5 (dziś dom SS Rodziny Maryi). Udostępniono nam piwnice, które ludność wypełniła po brzegi.

Większość mieszkańców Anina powędrowała do Wawra, Zastowa i na Glinki (Marysin Wawerski), skąd również w późniejszym terminie zostali wysiedleni.

Z tarasu domu ks. Godlewskiego przeżona patrzyłam z Wieskiem Francmanem na walczącą Warszawę. W domu tym miejscowi lekarze zorganizowali miniszpital (także w tych piwnicach). Pracowałam tam jako sanitariuszka. Pamiętam, że między innymi chorymi pielęgnowałam artystę malarza p. Doręgowskiego, którego rodzina do dziś mieszka na ul. VIII Poprzecznej 10.

Chodziłam również z p. Słowikowskim – pod eskortą Niemców – po żywność dla szpitala. Szpital i ludność tam przebywająca, (ale już bez zdrowych mężczyzn, których zabrano chyba 26 sierpnia do Pruszkowa) wysiedlono podwodami niemieckimi chyba 31 sierpnia.

A zatem w Aninie został już tylko teren wyznaczony przez Niemców dla ludności kierowanej do kopania rowów i prac w kuchni niemieckiej. To czworobok ulic: I Poprzeczna, Leśna, IV Poprzeczna i Królewska.

A co z nami? Z moją mamą i babcią Francmanową, którą mojej opiece powierzyła rodzina Francmanów, bo mama Wieśka nie opuściła swoich mężczyzn: męża i 2-ich synów. Włożyła męskie spodnie, włosy ukryła pod męską czapką i poszła razem z nimi 26 sierpnia do Pruszkowa.

Ja natomiast zarządziłam, że nigdzie

dalej nie pójdziemy. Tu są nasze domy, tu musimy zostać i czekać na powrót bliskich. Odprawiłam podwodę niemiecką, która już tylko po nas przyjechała. Kryłyśmy się w piwnicach, oczywiście z przygodami. Ale udało się. Ruszył front. Dotrwałyśmy do „natarcia”, tj. 13 września.

I domy nasze ocalały.

Alicja Francman

Na początku wojny ojciec zginął w obronie Warszawy. Splonęło doszczętnie mieszkanie rodziców vis a vis Politechniki. Mama przeniosła się z nami, ciocią Lucią i 80-letnim dziadkiem do naszego domu w Aninie. Tu jako przeżyliśmy okupację.

W końcu lipca 1944 roku front zbliżał się bardzo szybko, by wreszcie zatrzymać się w Międzyzlesiu. Pociągi nie kursowały. Na 3 dni przed wybuchem powstania mój brat, Jurek Nowak, zgodnie z rozkazem wyruszył do Śródmieścia. Przed wyjściem poszedł pożegnać się z dziadkiem. Dziadek przesypiał wtedy prawie całe dnie i zdawał się być duchem nieobecny. Nieoczekiwanie wyszeptał jednak do wnuka: „Idź, walcz za Polskę, jak twój ojciec...”

Pocisków padało coraz więcej, więc przenieśliśmy się do pobliskiego domu przyjaciół, gdzie mury zdawały się mocniejsze i były obszerne piwnice. Ukryło się w nich kilkadziesiąt osób. Tam spędziliśmy 1-szy dzień sierpnia.

4-go sierpnia zmarł we śnie nasz dziadek. Został pochowany w ogrodzie Hornów. Pamiętam, jak ze znalezionych gdzieś, nieheblowanych desek zbijano dla niego skrzynkę-trumnę. Deski nie były tej samej grubości, ani szerokości, nie były nawet równo przycięte. Nie pamiętam jednak samego pogrzebu – może nie było wszystkich jego bliskich z powodu silnego ostrzału. Później pogrzebano obok trzech żołnierzy niemieckich, poległych w pobliżu.

Po wyrzuceniu nas z domu Hornów, tulaliśmy się wraz z nimi po różnych domach i schronach Anińskich. Potem przez pewien czas zatrzymaliśmy się w klasztorze Sióstr Felicjanek na Glinkach, aby wreszcie osiąść na nieco dłużej u naszej rodziny w Łapigroszu, niedaleko Tarchomina. Tam byłoby prawie jak na waka-

cjach, gdyby nie wieczorna luna na niebie, odległe huki i dolatujący czasem z wiatrem zapach spalenizny i skrawki popalonych papierów z Warszawy. Z Warszawy, w której była reszta rodziny, w której walczył Jurek i jego cioteczni bracia...

Po niedługim czasie front znowu się zbliżył. Spłonął dom oraz stajnia i obora, razem ze zwierzętami. Zostałam ranna – także i inne osoby, które schroniły się u naszej rodziny. Solidny schron niedaleko domu przykrył równo popiół i staliśmy się prawie zupełnie niewidoczni. Walki toczyły się nad nami. Słyszeliśmy to niemieckie, to rosyjskie głosy. W pewnym momencie zauważyli nasz schron żołnierze radzieccy i zaczęli strzelać do środka. Moja mama złapała białą chustkę, wcisnęła na parasol, wytknęła go do góry i zawołała pierwsze słowa po rosyjsku, które zapamiętałam: „Zdies żeńszczyzny; zdies ranieny”.

Potem jednak znowu przyszli Niemcy i znowu nas wyrzucili, i znowu tulaliśmy się po różnych opuszczonych schronach i domach. Rana mi ropiała, dostałam zapalenia płuc, leki dał mi jakiś niemiecki lekarz ze stojącej w pobliżu baterii. Cały czas strzelano, padały pociski, był nieopisany hałas, świst, huk i drżała ziemia. Ciągłe byli nowi ranni i zabici. Ukryliśmy się wreszcie w małym schronie niedaleko Wisły, wśród powalonych drzew. Każdego dnia otoczenie wyglądało inaczej: przesunięte pnie drzew, nowe leje po bombach i pociskach. Nie mieliśmy nic do jedzenia. O świcie ktoś wyczołgiwał się, żeby szybko zebrać trochę ziaren z pola zgniecione przez czołgi. Potem mello się to ziarno w młynku do kawy i to było nasze pożywienie. Mój stan pogorszył się tak, że pożegnałam się z mamą – ale to było przesilenie. Ciocia Lucia załamała się psychicznie. Miała wszystkiego dość.

Wyruszyliśmy, żeby przedostać się przez Wisłę. Z jednej strony podtrzymywała mnie mama, z drugiej pani Hornowa. Musiałam kiepsko wyglądać, bo jakiś żołnierz niemiecki zapytał je po polsku: „A po co tego trupka ze sobą ciągniecie?”

Ale przeżyłam. I po dalszej tułaczce, w końcu stycznia 1945 r. wróciliśmy z mamą i ciocią do Anina.

Jurek wrócił w lecie.

Izabela Nowak

28 lipca 1944 roku Jurek Nowak, mój przyszły mąż, wychodził do Powstania. Odprowadzała go Lala, jego ówczesna sympatia. Widząc ich, idących ul. XII Poprzeczną, pomyślałam: „Jak to dobrze, że nie jestem na jej miejscu...”

Jurek szedł piechotą do Warszawy, do punktu oczekiwania na ogłoszenie „Godziny W” – czyli rozpoczęcia walk.

29 lipca, pod wieczór wszyscy z naszego domu przy ul. Tramwajowej przenieśli się do piwnic państwa Hornów przy ul. XII Poprzecznej. Przebywało tam już około 70 osób – okoliczni sąsiedzi. Drzwi do piwnic zamykane były na solidną kratę. Tuż po wybuchu powstania – nie pamiętam dokładnie którego dnia – przed domem Hornów zjawili się Niemcy. Kazali otworzyć drzwi. Niestety, krata się zacięła. Niemcy sądzili, że za solidnym zamknięciem ukrywają się powstańcy. Moja mama, Klara Sroczyńska, otwierała zamek i jednocześnie próbowała uspokoić Niemców, którzy kilkakrotnie strzelili przez drzwi. Wreszcie kratę udało się otworzyć, zdenerwowani Niemcy kazali wszystkim wyjść przed dom, mężczyźni ustawili w dwuszeregu, grożąc rozstrzelaniem. Coś strasznego wisiało w powietrzu. Moja dziesięcioletnia siostra płakała, krzycząc: „Nie oddam swojego tatusia”. Uratowała wszystkich przytomność umysłu, opanowanie i świetna znajomość niemieckiego mojej mamy. Wyperswadowała Niemcom, że w tym domu ukrywa się tylko ludność cywilna. Niemcy uspokoił się. „Jedna kula z tego domu i rozstrzelamy wszystkich” – obiecywali, odchodząc.

Front cały czas to zbliżał się, to oddalał. Niemcy w tym czasie niszczyli tory.

Z domu Hornów wyrzucono nas w połowie sierpnia. Znaleźliśmy schronienie w klasztorze na Glinkach. Pamiętam, że mój ojciec ciągnął na sznurku kożę, a w drugiej ręce trzymał lampę naftową. Koza była uparta jak osioł.

Mama Jurka spoglądała na lunę nad Warszawą i czasem wdychała: „Gdzie ten Jurek?”

Jurek wrócił do Anina (po pobycie w obozie) w 1945 roku.

Teresa Szymczak

Drugi mój dom (letnia rezydencja, jak mawiają złośliwi), w postaci stuletniej

chałupy, stoi w miejscowości nazwanej w końcu XIX w. ADOLFOWEM. Imię Adolf nosił właściciel ziemi, którą rozparcelował, tworząc wioskę o wspomnianej nazwie, dzięki czemu przeszedł do historii (przynajmniej niniejszej).

Ilekoć stamtąd wracam, najzłośliwszy ze wszystkich moich znajomych pyta: „Co tam słycać w Hitlerówku?”, a mnie regularnie trafia wtedy szlag. Ale ostatnio to jego pytanie przywołało pewne wspomnienie, o którym zaraz opowiem:

JAK HITLER NAS URATOWAŁ

Wraz z rodziną (mama, tata, siostra i ja) wyprowadzeni z Warszawy z Powstania Warszawskiego, wymknęliśmy się z obozu przejściowego dzięki zamieszkałej w Pruszkowie, Marii Lenartowiczowej, ciotce mamy. (Uratowała zresztą wielu warszawiaków). Była ona właścicielką kilku pruszkowskich ruder i jednego stosunkowo nowoczesnego budynku przy ul. Kraszewskiego. Dom (na tyle atrakcyjny, że został w 1939 r. natychmiast zarekwirowany) zamieszkali w czasie okupacji cywilni pracownicy Gestapo, tzw. folksdojce.

W związku ze zbliżającym się frontem opuścili oni pospiesznie swoje mieszkania, zostawiając w nich meble, obrazy, książki, zeszyty (m. in. pamiętnik pisany po polsku). Opiekująca się nami ciotka umieściła nas w jednym z takich opuszczonych mieszkań. Na frontowej ścianie pokoju wisiał niedużych rozmiarów portret Hitlera. Obdarowani przez pruszkowską rodzinę jakimiś kocami, pomału przywykaliśmy do nowego mieszkania. Niepewni swego losu (uciekierzy z obozu, warszawiacy bez meldunku byli wyszukiwani i wylapywani), pozostawiliśmy w mieszkaniu po Niemcach wszystko na dawnych miejscach – łącznie z Hitlerem na frontowej ścianie.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy w progu stanął niemiecki żołnierz: „Kennkarte bitte!” – zwrócił się nader grzecznie do rodziców. Wszedł do pokoju, żeby sprawdzić, ile osób tu zamieszkuje, a przerażeni rodzice grzebali w kieszeniach w poszukiwaniu dokumentów, świadczących, że – zameldowani jesteśmy w Warszawie, przy al. Niepodległości...

Wzrok Niemca spoczął... na portrecie Hitlera. Zdębiał, zaszalutował podniesioną łapą i wyszedł, „kennkart” nie oglądając. Byliśmy uratowani...

WIERUSZE

*

Widzę to niebo poszarpane
rzekę co zwie się niepokojem
i groźne ręce które wiążą
kamień
do jasnej myśli twojej

*

Czasem ręka z otowiu
unieść jej nie można
czasem gardło się ściska
nie wymówisz słowa
robisz krok
to się potkniesz
zapomnisz nazwiska

*

Oniemiałe ze zgrozy
i zamarte od lęku
serce w locie zastygłe
Boże wskrześ

*

Przychodzi chwila
kiedy ból przemija
wtedy wracasz
gdzie lasy
kipią zielonością
unosi ciebie radość
jesteś świata częścią
gałęzią
niebem
i nieskończonością



KTOŚ ZA DRZWIAMI

Niedziela, wczesne lato 1962 roku, piąta z minutami rano. Potworny żar leje się z nieba, w moim nowym i pierwszym w życiu własnym mieszkaniu temperatura wprost nie do wytrzymania; nic dziwnego, sufit jednocześnie jest dachem – przy braku strychu. Ciekawe jak to będzie w zimie. Przez otwarte, dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi balkonowe i uchylone okno wlewa się wspaniała, złota poświata anińskiego ranka, z całym swym niepowtarzalnym kolorytem. Idealna cisza, spokój, poczucie stabilizacji. Teraz wszystko potoczy się inaczej, nareszcie jestem u siebie.

Dwa ostre, przenikliwe dzwonki przerywają radosny nastrój. Ki diabeł, przecież prawie nikomu nie podawałem jeszcze swego adresu, do tego kto o tej porze... W otwartych drzwiach mężczyzna, tak na oko metr osiemdziesiąt wzrostu, pospolita, banalna twarz, na której odbicie znajduje siedem grzechów głównych, czarna marynarka do kolan, wojskowe bryczesy i buty z cholewami.

Można??? W natrętnym pytaniu jest zawarta jednocześnie odpowiedź. Robi ruch, jakby chciał wejść do wewnątrz. Opieram się jednak o framugę, tarasując przejście, i odpowiadam zdecydowanie: – Legitymację albo blachę... – Co, co... jaką legity... – A to pan nie wie – ryczę już ze złości – że pana obowiązkiem jest najpierw okazać legitymację albo żeton, a dopiero po tym... – Ale panie, jaką legitymację... Bo my tu panie w Międzyzlesiu mamy, wie pan, kaplicę... – Jazda stąd, ale już – z hukiem zatrzaskuję drzwi, przekręcam klucz. Naciągacz jakiś, wariat z tupetem lub po prostu dureń, wywleka mnie z łóżka po piątej rano w niedzielę, a niech to wszyscy diabli.

Okół południa wyświeżony i wyelegantowany, pełen błógiego samozadowolenia wybieram się na Mokotów do rodziny na dobry, niedzielny obiad. Ścieżką na ukos przez las, gdzie dziś jest zagrodzony teren internatu i rezydencji ambasadora Republiki Korei, idę spacerowym krokiem do anińskiego city, to jest do nieistniejącej już pętli autobusowej 115 i F.

Gdzieś w oddali, nieco w lewo, majaczy grupka osób, wśród których przeważają kobiety, jest też trochę dzieci. Jedni stoją, inni siedzą, niekiedy podpierając się o drzewa, a nad całością góruje

wysoka postać mojego tajniaka przemawiającego do zebranych.

– Bo Pan Jezus nas wszystkich bez wyjątku ukochał, dla nas stworzył ten świat, za nas umarł na krzyżu... On raduje się każdym naszym dniem, radością, szczęściem naszych bliskich, boleje nad każdym złym uczynkiem... Musimy wszystko zrobić dla Niego, oddać mu siebie całego, żyć według tego, co zapisane w Piśmie Świętym...

Ogarnia mnie uczucie zawstydzenia i upokorzenia, że tak potraktowałem i oceniłem tego człowieka, kierując się jedynie atrybutami jego zewnętrznego wyglądu i zachowania; kogoś pełniącego z oddaniem i – choć może i pewną naiwnością – swoją misję, przeświadczoną o jej doniosłości i znaczeniu. A jednocześnie nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ta sceneria jest jakaś dziwnie znajoma, tkwi w mej świadomości i usiłuję na gwałt sobie przypomnieć, gdzie i kiedy już ją widziałem, aby przytłumić, zminimalizować w sobie choć trochę samoocenę własnego zachowania.

Tak oczywiście, to jest to. Clyde Griffiths z „Tragedii Amerykańskiej” Teodora Dreiser’a, po pełnieniu strasznej zbrodni wlecze się bez celu ulicami Nowego Jorku i przystaje przed grupką aktywistów Armii Zbawienia, aby wysłuchać kazania o potrzebie miłości i dobroci w życiu człowieka. Nad ich stoiskiem wisi rozwieszony napis: „Kiedy ostatni raz pisałeś do swojej matki?” I choć nikogo nie zamordowałem i nie zamorduję, a do matki pisuję raz na tydzień, nie licząc telefonów, ta konstatacja nie usprawiedliwia, niestety, mego wewnętrznego rozdrażnienia.

Więc jak to jest? Ktoś za drzwiami, jeszcze nie wiadomo kto, z czym i po co. W wynikłą sytuację należy się wczuć, a to nie jest łatwe, nie traktować jej werbalnie. Tak właśnie jak zrobił to Anthony Perkins w filmie pod tytułem „Ktoś za drzwiami” i to w okolicznościach wcale nie sprzyjających, gdy jego piękna żona wyjechała „na zakupy”, a za drzwiami ich domu stał Charles Bronson z pistoletem w rękę. Ale to już całkiem inna historia.

A mimo wszystko obiad udał się znakomicie i dzień był wspaniały, choć skłaniający do refleksji.

(B. Cz.)

„KOLKA ANIŃSKA” odnaleziona i jest pod dobrą opieką

To ważna i dobra wiadomość. Ale należy zacząć od początku.

W marcu 1936 roku ukazała się w Aninie jednodniówka satyryczno-humorystyczna „Kolka Anińska”. Jej redaktorami byli: Antoni Gosławski i Romuald Słowikowski. W książce „Anin-Wawer” Henryk Wierzchowski zamieścił reprodukcję strony tytułowej „Kolki Anińskiej” oraz zaczerpnięty z „Kolki” fragment tekstu o Aninie. Formatem i wyglądem „Kolka” przypominała bardzo popularny przed drugą wojną światową ilustrowany tygodnik humorystyczny „Mucha” (tu godzi się przypomnieć, że „Mucha”, ostatecznie zlikwidowana w okresie stalinowskim, była tygodnikiem bardzo szacownym; do grona jej redaktorów i jej współpracowników należeli między innymi: Bolesław Prus, Artur Oppman, Wacław Gąsiorowski, Wiktor Gomulicki, Aleksander Gierymski).

Gdy redakcja MNA starała się dotrzeć do „Kolki”, ujawnił się fakt bardzo niepokojący. Osoby, o których wiedziano, że „Kolkę” miały, po sprawdzeniu stwierdziły, że nie mogą jej odnaleźć. Prawdopodobnie kiedyś ją komuś pożyczyły, ale dziś nawet nie pamiętają komu. Co najgorsze, okazało się, że „Kolki” nie posiadają w swych zbiorach ani Biblioteka Publiczna Gminy Wawer, ani Biblioteka Miasta Warszawy, ani Biblioteka Narodowa. W Bibliotece Narodowej znajduje się jedynie zapis, że taki druk został opublikowany. Gdzie jest „Kolka”? – pytała redakcja MNA w numerze 2/10 (luty 2001), ale pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Rodziły się obawy, że anińska jednodniówka jest już bezpowrotnie stracona i jedynym śladem jej istnienia pozostaną cytaty w książce Wierzchowskiego.

A jednak „Kolka Anińska” odnalazła się i to w okolicznościach zupełnie niezwykłych. Dużą pomoc w jej odnalezieniu okazał... Konstanty Ildelfons Gałczyński. W pierwszą sobotę czerwca 2001 roku w wypożyczalni książek przy ul. Trawiastej w Aninie odbyło się spotkanie z Kirą Gałczyńską z okazji dnia „Zielonego Konstantego”, o czym „Niecodziennik” pisał w numerze 7/15. W czasie imprezy, pani dyrektor Barbara Szpinda powiadomiła mnie, że jedna z uczestniczek przedstawiła się córce poety, jako Anna Albińska. Od razu nawiązałem rozmowę z przemilą panią Anną, która okazała się synową dra Mariana Albińskiego, redaktora i wydawcy miesięcznika „Na Straży” (o tym miesięczniku i doktorze pisałem we wspomnianym wyżej numerze 2/10 MNA). Dowiedziałem się, że pani Anna starannie przechowuje pamiątki rodzinne po teściu i troskliwie ich strzeże. Dzięki wspólnemu zainteresowaniu poezją Gałczyńskiego mogliśmy się poznać i nawiązać kontakt. Pani Anna udostępniła mi kopię kserograficzną „Kolki Anińskiej”. Z prawdziwym wzruszeniem mogłem skonfrontować oryginalną „Kolkę” z moimi wspomnieniami z dzieciństwa. W 1936 roku świeżo wydany egzemplarz „Kolki” znalazł się w moim domu rodzinnym i chociaż nie potrafiłem jeszcze wtedy czytać, z przejęciem oglądałem karykatury Kasyna i znanych mi osobiście osób. Jeden szczegół utkwił mi w pamięci – rysunek Jerzego Zaruby przedstawiający tańczącą parę i podpisany (jak mi to przeczytał ojciec) „wygibasy z ósmej klasy”. Zapamiętałem

też, że w jednej z tańczących osób rozpoznałem pana Lodka (Włodzimierza) Rodewalda. Niedawno zwątpiłem w niezawodność mojej pamięci, gdy pani Hanna Orkisz, która przez wiele lat przechowywała egzemplarz „Kolki”, opowiedziała mi, że znajdowała się tam karykatura pana Rodewalda – tańczącego z panią Hanną Gąssowską – opatrzona napisem „Orangutango”. Dopiero biorąc do ręki „Kolkę”, przekonałem się, że obydwójce mieliśmy rację, choć moja pamięć okazała się mniej doskonała: pomyliłem numer klasy (w rzeczywistości chodziło o „wygibasy z 5-ej klasy”). Druga karykatura Jerzego Zaruby zamieszczona w „Kolce” przedstawia „mocną zaprawę” sportowców anińskich. Rozpoznałem na niej pana Włodzimierza Rodewalda (drugi od lewej) i pana Jana Jasińskiego (trzeci od lewej). Wspomnienie pośmiertne o Janie Jasińskim pióra Hanny Orkisz zamieścił „Niecodziennik” w numerze 8 (wrzesień 2000), natomiast Włodzimierza Rodewalda (i przy okazji „Kolki Anińskiej”) wspomniałem w MNA w numerze 1 (styczeń 2001) w artykule „O smutnym losie psa Pucka”.

Mylnie interpretując zdanie Henryka Wierzchowskiego, zawarte w jego książce, byłem przekonany, że karykatura anińskiego kasyna, zamieszczona na tytułowej stronie „Kolki” i reprodukowana na str. 51 książki Wierzchowskiego, jest również dziełem Jerzego Zaruby. Tymczasem z podpisu na rysunku wynika, że karykaturę tę sporządził Antoni Gosławski. Tak więc w nowym wydaniu książki „Anin-Wawer” (oby takie ukazało się) należałoby zaznaczyć ten fakt.

Zamieszczone w „Kolce” satyryczne teksty mogą bawić nawet dziś i zasługują na przypomnienie choćby na łamach „Niecodziennika”. Na zakończenie przytoczę (z zachowaniem oryginalnej pisowni) jeden z nich, zatytułowany „Wstęp do bajek (Nie Krasickiego)”:

*Był zarząd, w którym każdy gorliwie pracował;
Był członek, który składki pilnie regulował;
Był klub obywateli żywy, nieumarły;
Były kółka i związki, które się nie żarły;
Był obchód w atmosferze jaknajlepszej zgody,
Nikt nie pisał protestów, nikt nie mącił wody;
Był drugi obchód, w którym wszyscy udział brali,
Nikt się z nikim nie kłócił, wszyscy się zgadzali;
Był mówca, który nie głądził, malkontent, co nie krytykował;
Był mieszkaniec Anina, który nie plotkował;
Była młodzież, która bez wódki miała dosyć weny;
Był restaurator, który solił potrawy nie ceny.
Był, były i tak dalej, wszystko to być może
Prawda, jednakże ja to między bajki włożę...*

Jedną linijkę tego utworu odbieram bardzo osobiście. Wzmianka o restauratorze odnosi się do mego ojca, Leona Wiwegera, który prowadził restaurację w anińskim Kasynie.

Antoni Wiweger

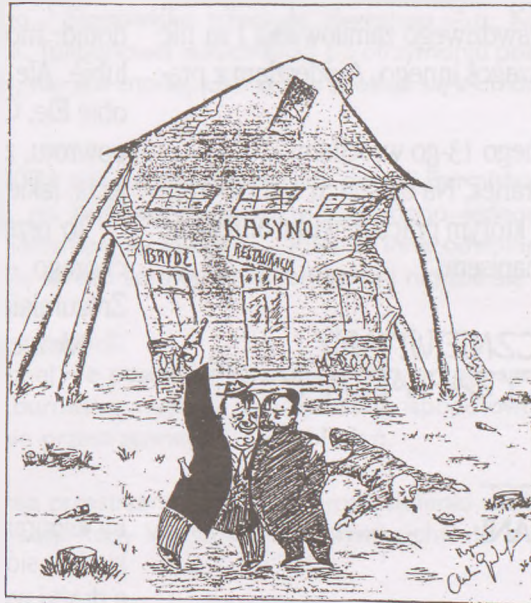
KOLKA ***** ***** anińska

Jednodniówka humorystyczno-satyryczna
kłuje jednorazowo bez bólu za **40 gr.**

Kasyno anińskie w roku jubileuszowym 1960-ym.

Ilustracje:

1. Karta tytułowa „Kolki Anińskiej”
2. Dwie karykatury wykonane przez Jerzego Zarubę, zamieszczone w „Kolce Anińskiej”



Nic się podobno tutaj nie zmieniło,
tylko się kasyno nieco przekrzywiło.



II. „Mokra zaprawa” sportowców anińskich.

Z cyklu „Nasi Milusińscy”.

I. Orangutango



czyli wygibasy z 5-ej klasy.

To nie był powrót marnotrawnego syna, ukochanego z wojska, emigranta – do ojczyzny, to był mój powrót do pracy.

Jestem instrumentariuszką na bloku operacyjnym w jednym z grochowskich szpitali. Zupełnie nieoczekiwanie, bez wcześniejszych ostrzeżeń, dostałam na stanowisku pracy zawału serca. Wspaniali specjaliści naszego Oddziału Kardiologicznego uratowali mi życie. Ale przez pół roku przebywałam na zwolnieniu lekarskim. Szpital, rehabilitacja, sanatorium – stęskniłam się za pracą, którą przecież podjęłam z prawdziwego zamilowania i za nic nie chciałabym robić czegoś innego. A odeszłam z pracy bez pożegnania...

Ale udało się! Pewnego 13-go wróciłam!

Był to niezwykle poranek. Na drzwiach wejściowych bloku operacyjnego, w którym pracuję, wisiał odręcznie namalowany plakat z napisem:

SERDECZNIE WITAMY
i DO PRACY ZAPRASZAMY

ZNAJOMI A NIEZNANI

Kazimierz Cholewiński – gospodarz

Mój ojciec przez znaczną część życia był dozorcą, albo jak wtedy, w latach 30-tych ubiegłego wieku mawiano – stróżem. Zimą o piątej rano zmiatał spadły nocą śnieg, żeby nie zdrapywać go żelaznym skrobakiem, kiedy udeptany zostanie nogami przechodniów. Latem zmiatał z ulic kurz, śmieci, opadłe liście. Podlewał w czasie upału krzewy i trawniki za podwórkiem domu, znajdującego się pod jego opieką. Co tydzień zmywał schody, wiodące, aż na czwarte piętra dwóch klatek schodowych (notabene jedne z nich wiodły do mieszkania pani Lewickiej, u której ukrywał się słynny „PIANISTA”).

Kiedy dorosłam na tyle, że mogłam udźwignąć kubetek z wodą i szmatę, czasem myłam te schody, pomagając w ten sposób rodzicom.

Toteż mam szczególny, osobisty stosunek nie tyle do pana Kazika, ile do pracy, którą wykonuje. Niewiele, niestety, zmieniło się przez te kilkadziesiąt lat w sposobie wykonywania zajęć – zmieniła się tylko nazwa zawodu – gospodarz. I słusznie. Ale często widzę pana Kazika z tymi samymi akcesoriami, którymi posługiwaliśmy się przed dziesiątkami lat. Czyżby nie wynaleziono urządzeń ułatwiających sprzątanie ogromnego terenu? Ręczne zmiatanie, grabienie liści, ręcznie pchany wózek z setka-

Anna, koleżanka instrumentariuszka, trzymała na tacy nożyczki – jedne z wielu naszych narzędzi pracy. Miałam nimi osobiście przeciąć wstęgi z kokardkami, zawieszane na wszystkich wejściach bloku. Chore serce łopotalo mi w piersiach ze wzruszenia...

Kiedy pokonałam szarfy, koleżanki serdecznie mnie uściskały, a żadna nie miała pustych rąk: były w nich kwiaty – cięte i doniczkowe, był nawet szampan. Nim wzniesiono toast „za szczęśliwy powrót Marysi”.

Moje chore serce tym razem radowało się, jak nigdy dotąd: mogłam znowu być z nimi, w pracy, którą tak lubię. Ale najważniejsze było odczucie, że koleżanki – obie Ele, Czesia, Ania – naprawdę cieszyły się z mojego powrotu, że na mnie czekały. Nigdy nie zapomnę przyjęcia, jakie mi zgotowały.

To przecież takie ważne – zwłaszcza dla człowieka chorego – że może się czuć potrzebny, oczekiwany. Zrozumiałam, jak istotne są przyjazne stosunki w pracy.

Nie życzę wam zawału serca. Ale takich powrotów – tak!

Marysia Sieczkowska

mi kilogramów spadłego listowia... Zimowym rankiem, kiedy o siódmej idę do sklepu, śnieg jest już odgarnięty, a dróżki wysypane piaskiem. Schody zamieciono, a czasem wymyte – tu postęp! – mopem... I zawsze, kiedy widzę krzątającego się wokół naszego domu pana Kazika, myślę o Ojcu.

Tyle osobistych refleksji. A teraz już tylko o panu Kazimierzu Cholewińskim, na którego natykam się co chwila, chodząc po Osiedlu IBJ.

Jego znakiem rozpoznawczym jest... pies. Tak, zawsze w pobliżu krzątającego się pana Kazika kręci się jakiś pies. Najpierw była to Diana, suka; przygarnięty podrzutek, jakich wiele, niestety, na naszym terenie. Teraz – Łazi Buncel. Nie odstępuje swego pana i śmiało można powiedzieć: jeśli gdzieś jest Buncel, to i jego (i nasz) gospodarz.

Pan Kazik rozpoczął swoją pracę w Aninie w 1977 r., dojeżdżając z Goławka. Ożenił się i ma dwoje dzieci. W pracy pomaga mu żona, Maria. Mieszkanie ze Spółdzielni w Aninie otrzymał w 1979 (wtedy się „dostawało” mieszkanie). Pracuje nieprzerwanie tyle lat! Jest jednym z najstarszych stażem (choć nie najstarszym) pracownikiem Spółdzielni. Pracownikiem powszechnie lubianym, budzącym zaufanie, gotowym służyć radą, pomocą, informacją. Jest przy tym uprzejmy. Jednym słowem – gospodarz.

J.Sz.

NIEZROZUMIAŁE DECYZJE – ZROZUMIAŁE EFEKTY

W „Rzeczpospolitej” z dnia 2 lipca 2001 roku w dziale „Nieruchomości” ukazał się artykuł Grażyny Raszkowskiej – „Bój o Górkę Delmacha” z nadtytułem: „Prawo budowlane. Niezrozumiałe decyzje”.

Dziennikarka relacjonuje w dużym skrócie dwuletnią, trudną i prawdopodobnie jałową batalię Koła Przyjaciół Anina o zachowanie dostępności dla mieszkańców osiedla stoków Górki Delmacha. Przytacza opinię pracowników Urzędu Gminy Wawer o unikalnych walorach użytkowo-przyrodniczych tego terenu (patrz publikacja „Wawer – nasz zielony dom”, 1998 r.). Cytuje również wypowiedzi inwestorów – p.p. Z. Grycana i M. D. Chechłowskich, których rezydencje zostały tak odmiennie potraktowane najpierw decyzjami Urzędu Wojewódzkiego, a następnie decyzjami Inspektora Nadzoru Budowlanego... Stanowisko trzeciego inwestora – p. Kujawskiego (który jako pierwszy wybudował się na Górcie od strony ul. Tulipanowej natychmiast po otrzymaniu pozytywnej decyzji Urzędu Gminy Warszawa-Wawer, jesienią 1998 roku), nie jest znane, jako że nie spotkał się z autorką artykułu p. Grażyną Raszkowską.

Wojewoda Mazowiecki decyzją z 13 lutego 2001 r. stwierdził nieważność decyzji Burmistrza Gminy Wawer z dnia 14.08.1998, pozwalającej p. Kujawskiemu na budowę budynku mieszkalnego jednorodzinne. (Kubatura budowli wskazuje na rodzinę dość liczną), natomiast jej inwestor – jako że inne odwołania były na adres Koła wysyłane „do wiadomości” – prawdopodobnie uważa sprawę za zakończoną i nigdzie się nie odwołuje!

Do artykułu p. G. Raszkowskiej dodam kilka konkluzji:

1. Gmina Warszawa-Wawer do chwili obecnej nie posiada miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Wobec tego informacja (cytat:) „burmistrz ...uznał, że projekt zagospodarowania terenu jest zgodny z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego” – jest błędna.

Notabene plan ogólny zagospodarowania przestrzennego stolicy oraz ustalenia wiążące plany szczegółowe miały być zatwierdzone 9 lipca b.r. na sesji Rady Warszawy. Jak brzmi uchwała – jeszcze nie podano do wiadomości.

2. Istotną rolę w sprzedaży „działek budowlanych przy Górcie Delmacha” (cytat z artykułu) odegrała Agencja Nieruchomości „ANIN”. Kto zlecił Agencji sprzedaż spornych działek?
3. W sprawie zabudowy Górki Delmacha na plan pierwszy wysuwa się wyjątkowa opieszałość urzędów, do których Koło Przyjaciół Anina kierowało pisma o stwierdzenie legalności decyzji burmistrza Gminy Wawer, Dariusza Godlewskiego, i wyjątkowa prężność inwestorów. W czasie, gdy nasze pisma leżały w urzędach – gminnym i wojewódzkim – bądź krążyły między nami, inwestorzy postawili swoje rezydencje.
4. Deklaracje p. Z. Grycana, że „nie wyciął żadnego drzewa i że zatrudnił dendrologów, by roślinności nie stała się krzywdą”, nie stanowią treści naszych (jak je określił) absurdalnych zarzutów. Skarpa Górki, którą nabył p. Z. Grycan, jest szczególnie cenna ze względu na rosnące tam piękne dęby – mieszkańcy Anina oglądają je teraz zza solidnego ogrodzenia...

Straciliśmy ten teren jako społeczność!!!

5. Należy podkreślić, że na dostępnych, choć okrojonych stokach Górki Delmacha i jej wierzchołku – tzw. Anin Kościelny (początkowo przeznaczony pod budowę kościoła) – odbywają się w dalszym ciągu imprezy sportowe, głównie pod patronatem Klubu Kultury Anin. Mieszkańcy naszego Osiedla i ich sobotnio-niedzielni goście nie chcą też rezygnować z tradycyjnej trasy spacerowej. Komentarze spacerowiczów są dla Urzędu Gminy Wawer mało pochlebne. Istniejąca sprzeczność interesów mieszkańców i właścicieli nowo budowanych siedlisk polega również na tym, że ci ostatni chcieliby na Górcie mieć enklawę ciszy. Ostre wystąpienie mieszkanki domu p. Kujawskiego z ul. Tulipanowej, która przepędziła bawiące się na zboczach Górki (może i dość hałaśliwie?) dzieci, jest przykładem różnicy poglądów na funkcję tego niepowtarzalnego miejsca.

M. Choderek
17 lipiec 2001 r.

Danuta Pyrzyńska-Zurawska – lekarz chorób wewnętrznych i reumatycznych (aninianka z urodzenia), ukończyła studia na Uniwersytecie Warszawskim.

Jest członkiem polskiego Towarzystwa Reumatologicznego.

Zgodziła się rozmawiać z czytelnikami MNA o problemach, związanych ze zdrowiem.

Ponieważ niektórych redaktorów nękały bóle stawów rąk (ledwo trzymając pióra w ręku),

pani doktor rozpoczęła swoje gawędy od opowieści o:

O REUMATYZMIE i REUMATOLOGII

Choroby reumatyczne znane już były w starożytności, a terminu „reumatyczny” użył Hipokrates w IV wieku przed Chrystusem. W owym czasie słowo „rheuma” miało oznaczać: „odpływ niewłaściwych soków z mózgu”, odpowiedzialny za wiele chorób, także mięśniowo-stawowych.

Domną reumatologii są choroby, których głównym objawem jest ból, wywołany zapaleniem i zwyrodnieniem tkanek stawowych i okostawowych. Przyczyna wielu chorób reumatycznych nie jest dotychczas dokładnie znana; jest często domniemana.

Dużą rolę w powstaniu tych chorób mogą odgrywać drobnoustroje, zaburzenia odpornościowe oraz genetyka.

W ostatnich latach obserwuje się gwałtowny postęp w poznawaniu chorób reumatycznych. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku liczba chorób zaliczanych do reumatycznych wynosiła zaledwie kilkanaście. W ostatnim trzydziestoleciu liczba ta niepomierzenie wzrosła i sięga około 300 jednostek chorobowych. Dzieje się tak nie z powodu ujawnienia nowych chorób reumatycznych, lecz na skutek włączenia do tej grupy szeregu jednostek chorobowych z innych dziedzin medycyny, w których zaburzenia ze strony układu ruchu są dominujące lub liczące się.

Wśród wszystkich chorób reumatycznych, które można uszeregować w dziesięciu głównych grupach i bardzo wielu podgrupach, najczęstszą chorobą stawów w populacji ludzkiej jest choroba zwyrodnieniowa. Występowała ona, jak wykazały badania archeologiczne mumii i szkieletów pochodzące z wykopalisk w Egipcie, już przed tysiącami lat.

Opisy chorób reumatycznych – pochodzące ze starożytności – wykazują, że najlepiej znana w owych czasach była dna. Istotę tej choroby poznano dokładnie dopiero w XVII wieku. Jest to choroba reumatyczna, której przyczyną są zaburzenia przemiany materii.

Ważną grupę stanowią choroby reumatyczne o podłożu zapalnym, prowadzące nieuchronnie do ograniczenia sprawności fizycznej lub kalectwa. Wczesne i intensywne leczenie łagodzi przebieg choroby, ale nie daje gwarancji całkowitego wyleczenia.

Leczenie i profilaktyka w chorobach reumatycznych są utrudnione z uwagi na nieznaną przyczynę wielu chorób z tej grupy.

Nadal pozostaje bez odpowiedzi pytanie, co oznacza termin „reumatyczny” i czy wyłącznie objawy stawowe są jedynym kryterium tej choroby.

Danuta Pyrzyńska-Zurawska

ANIŃSKIE DRZEWA

TAMARYSZEK – RYCERZ WSCHODNICH KRAIN

W anińskim osiedlu-ogrodzie, wśród niewysokich budynków dawnego Instytutu Badań Jądrowych napotkać można wiosną różowo kwitnące krzewy, przypominające olbrzymie wrzose.

To tamaryszek.

Zamieszczamy poniżej artykuł o tym krzewie, napisany przez MARIANA STYPIŃSKIEGO, nieżyjącego już leśnika (1913-1985), który przez 42 lata pracy zawodowej (m. in. w Puszczy Białowieskiej i w Kampinosie), zyskał opinię znakomitego praktyka i świetnego popularyzatora wiedzy o przyrodzie.

Był wieloletnim, szeroko znanym działaczem Ligii Ochrony Przyrody, który budził wśród nas, aninian, podziw swoją rzetelnością, pracowitością, zaangażowaniem. Jego artykuł, przechowywałam w archiwum Koła Ligi Ochrony Przyrody. Otrzymałam go w latach siedemdziesiątych, kiedy zwyczaj posypywania ulic solą w czasie zimy był powszechny. Zwyczaje mogą się zmieniać, właściwości roślin – jeśli nie ingeruje człowiek! – na ogół nie. Polecam tamaryszek.

Maria Chodorek

Rodzina Tamaryszkowatych liczy w świecie około 100 gatunków. Stanowią ją w swej ojczyźnie niewielkie drzewa dochodzące do 12 m. wysokości, o grubości pnia do 0,5 m. Jednak przeważnie są to krzewy dochodzące do 6 m. wysokości. Zasadlają południowo-wschodnią Europę, północną Afrykę i Azję. Tamaryszki, to piękne krzewy ozdobne. Listeczki mają bardzo małe od 1 mm do 7 mm, zielone lub niebieskawe, łuskowate. Kwiaty obupciowe 4-ro lub 5-ciokrotne występują w gronach lub w wiecach przeważnie w kolorach od jasnoróżowych do purpurowych, wyjątkowo czasem białe. Przeważnie na zimę zrzucają listeczki, ale spotyka się również gatunki zimozielone.

Dlaczego w tytule nazwałam tamaryszek rycerzem? Na miano to tamaryszek w pełni zasługuje, ponieważ dzielnie stawia czoło przeciwnościom natury, doskonale daje sobie radę w różnych warunkach ekologicznych. Wybitnie wytrzymały na suszę, rośnie dobrze na piaszczystych glebach pustyń, półpustyń, na słonych glebach stepowych. Należy do nielicznej grupy roślin tzw. słonorośli (halofitów).

Korzenie jego pobierają duże ilości soli, a liście wydzielają ją na zewnątrz. Zjawisko to zaobserwowałem na krzewach tamaryszka rosnących przy Pałacu Kultury w Warszawie, latem 1972 r., gdzie w czasie kilkutygodniowej, słonecznej, upalnej pogody (czerwiec i początek lipca) można było widzieć na listeczkach tamaryszku naloty soli. Dzięki temu może on w zieleni miejskiej spełniać zadanie nie tylko jako krzew ozdobny, ale także ważną rolę naturalnego odsalacza gleby, zwłaszcza przy szerokich ciągach alejowych.

W czasie niektórych zim tyle mamy kłopotów ze skutkami solenia jezdní. Cierpią od tego zasolenia drzewa i krzewy. Niejednokrotnie ulegają całkowitemu zniszczeniu. Korzenie tamaryszka, które mogą spełniać rolę naturalnych pomp odsalających, rosną pionowo ku dołowi, czyli ortotropowo. Bardzo głęboki jest ich zasięg. W czasie budowy Kanału Sueskiego znajdowano korzenie tamaryszka na głębokości 30 metrów. Ta cecha tamaryszka wegetacji na zasolonych glebach powoduje, że sadzony jest w Holandii, na glebach wydartych morzu; stosowany jest też do utrwalenia ruchomych wydm na terenie Rosji. Zasluguje więc tamaryszek i na naszą uwagę.

Jest dzieckiem słońca, lubi stanowiska słoneczne, w cieniu źle się czuje. Różne gatunki tamaryszków różnie wytrzymują mrozy. Najmniej wytrzymałymi gatunkami jest *Tamarix gallica* – tamaryszek francuski, uprawiany od XVIII wieku, wytrzymuje mrozy do -17°C , to też w Polsce w czasie ostrych zim przymarza. Wśród wielu gatunków są niektóre bardzo wytrzymałe na chłody, na przykład: *Tamarix gracilis* Willd, który znosi mrozy do $-51,4^{\circ}\text{C}$. Jest on gatunkiem o najdalszym zasięgu północnym i uprawia się go na terenie Rosji w północnych rejonach. Tamaryszki łatwo krzyżują się między sobą i tworzą interesujące mieszańce (hybrydy). Do bardzo ciekawych należy mieszańiec powstały z krzyżówki *Tamarix Hohenackeri* i *Tamarix Meyeri*. Został on znaleziony w dolinie rzeki Amu-Darii w Taszkencie. Miejscowa ludność nazywa go „Majowy Śnieg”. Starsze gałązki tego krzewu są ciemnoszare, roczne – jasnopurpurowe. Kwitnie w końcu kwietnia i w maju. Posiada śliczne, czysto białe kwiaty, zebrane w gęste, długie kiście, zwisające w dół, dlatego też krzewy w czasie kwitnienia sprawiają wrażenie, jakby były pokryte świeżo spadłym śniegiem.

Hybrydę tę łatwo można wyhodować w doniczkach w mieszkaniu, wówczas krzewinki efektownie kwitną w lutym i marcu.

Na niektórych gatunkach tamaryszków występuje tzw. „manna tamaryszkowa”. Są to jadalne grudki zakrzepłego soku na zranionych i uszkodzonych pędach. Zjawisko „manny tamaryszkowej” występuje w gatunku *Tamarix Gallica* v. *maritima*. Zasadza ten gatunek półwysep Synaj.

Należałoby przypuszczać, iż cudowna biblijna manna, którą rzekomo z nieba otrzymali Żydzi na pustyni, była tamaryszkową manną, która obficie wystąpiła na tamaryszkach po burzy piaskowej, na skutek okaleczeń pędów tamaryszka przez ostre ziarenka piasku.

Badając życie naszego genialnego uczonego, Mikołaja Kopernika, w zakresie jego działalności lekarskiej, natrafiono na oryginalną receptę, w której Mikołaj Kopernik zapisał tamaryszek jako skuteczny lek na „krosty”.

W Polsce uprawia się kilka gatunków tamaryszków, a mianowicie wspomniany już wyżej *Tamarix Gallica* – tamaryszek francuski, *Tamarix Parwifolia* – tamaryszek drobnokwiatowy oraz *Tamarix pentandra* PALL – tamaryszek pięciopęcikowy. Ten ostatni jest to krzew wysokości 5 m. Gałęzie purpurowoczerwone, luskowato wygięte do ziemi, listki siniozielone, lancetowato-jajowate. Kwiaty pięciokrotne, żywo różowe, w gronach o długości 3-8 cm, zebrane w duże, wiechowate kwiatostany na końcach tegorocznych pędów. Czas kwitnienia od końca czerwca do września. Płatki nie opadają po przekwitaniu. Jest to jeden z najładniejszych gatunków tamaryszka, który obecnie jest uprawiany w naszym kraju.

Tamaryszek bardzo łatwo się rozmnaża z nasion, sadzonek zielnych i zdrewniałych. Rozmnażanie z nasion jest kłopotliwe, ponieważ nasiona zachowują zdolność kiełkowania od 1 miesiąca do 4-ech, wyjątkowo u niektórych gatunków do jednego roku. Nasiona należy wysiewać zaraz po zebraniu na wilgotną glebę bez przykrycia. Kiełkują już na 2-gi dzień. Siewki wymagają w pierwszych tygodniach wiele wilgoci i starannej pielęgnacji. Najprościej wszystkie gatunki tamaryszków rozmnażać z sadzonek zdrewniałych. Pędy na sadzonki należy pozyskiwać w końcu zimy, w lutym. Optymalna długość zrazów wynosi 20-25 cm o grubości około 1 cm. Sadzimy bezpośrednio w grunt, wczesną wiosną, na dobrze przygotowanej glebie. Sadzimy prosto i równo z powierzchnią przygotowanej gleby. Ukorzeniają się prawie w 100%. W dobrych warunkach glebowych bardzo często w rok po zaszkolowaniu większość materiału jest gotowa do wydania ze szkółki.

Tamaryszek, ten przybysz z dalekich, wschodnich krain, zasługuje na bliższe zainteresowanie ze strony naszych szkółkarzy, projektantów terenów zielonych. Warto by podjąć próby stworzenia najlepszych odmian dla naszych warunków. Tamaryszek może spełniać wieloraką rolę na naszych krajowych terenach: estetyczną, przez swoją ażurową, wrzosowatą zieleń z delikatnym, różnorodnym kwitnieniem, pożyteczną jako naturalny odsalacz gleby, dobry materiał do ustalenia lotnych piasków wydm śródlądowych i morskich. Tamaryszek może być wprowadzany przy ciągach komunikacyjnych w formie naturalnych strzyżonych żywopłotów.

Marian Stypiński



Przepraszam panią Jadwigę Strzemieczną, że uczyniłam z niej w 7. nr MNA Janinę. Przepisując nadesłany tekst, myślałam o swojej siostrze, Janinie. Ciągłe kogoś nazywam tym imieniem, prawda, Marysiu?

Redaktorka
(też Jadwiga)

Lipcowe burze

Był czas, kiedy bardzo lubiłam burze. Fascynowały mnie grzmoty, cieszyły ulewy, które ożywiały zasychające zazwyczaj na piaszczystym, anińskim podłożu trawniki i krzewy. Ale przyszedł dzień, kiedy od pioruna zapaliła się nasza letnia altana i tylko cudem udało mi się ugasić płonącą, suchą ścianę. Nigdy nie zapomnę dymu i płomieni, wywołanych przez piorun, który przywędrował do nas poprzez instalację elektryczną – do sznura od lampki nocnej. Była wprawdzie zgaszona, ale korków nie wyłączyłam, ani wtyczek z kontaktów nie wyciągnęłam...

Od tej chwili panicznie boję się burzy i najchętniej kryłabym się w czasie jej trwania pod łóżkiem, gdzie przed grzmotami chowa się mój pies.

A tego lata lipiec był nie „przekropany”, a „prze-o-kropany”, jak słusznie zauważył ktoś w „Przekroju”.

Z relacji znajomych wynika, że w lipcu pioruny poniszczyły w Aninie kilka komputerów, drzewa potraciły potężne konary (złamana została też moja śliwa w ogródku).

Poniżej – relacja jednego z mieszkańców Anina o lipcowej burzy.

T.S.

Burza nad Aninem

Groźne zjawiska meteorologiczne, nękające Polskę tego lata, nie ominęły Anina. Burza, która przeszła nad Aninem w nocy z 19 na 20 lipca 2001 roku, na długo pozostanie w pamięci mieszkańców. Mija właśnie 249 lat od wynalezienia piorunochronu przez Benjamina Franklina. Żyjemy już w XXI wieku, a okazało się, że w pewnych sytuacjach ochrona domu przed piorunami jest iluzoryczna.

Kilkadziesiąt lat temu nad budynkiem, w którym mieszkam, poprowadzono linię wysokiego napięcia i blisko budynku postawiono 30-metrowy słup. Fachowcy zapewniali wówczas, że niewygody związane z poprowadzeniem linii nad domem zostaną zrekompen-sowane znakomitym zabezpieczeniem w czasie burzy. Tymczasem fatalnej nocy nastąpiły co najmniej dwa uderzenia pioruna bezpośrednio w budynek (mówiąc dokładniej: w instalację telefoniczną budynku). Całkowitemu zniszczeniu uległy znajdujące się w budynku w odrębnych lokalach bezprzewodowe aparaty telefoniczne. Urządzenia elektryczne ocalały, gdyż zadziałały

automatyczne wyłączniki zabezpieczające linię energetyczną.

Obecnie kupiłem nowy aparat telefoniczny marki Siemens i w instrukcji obsługi znalazłem następujący fragment: „Uszkodzenia powstałe na skutek przepięć w linii energetycznej lub telefonicznej nie są objęte gwarancją. Siemens zaleca stosowanie bezpieczników przepięciowych na linii energetycznej i telefonicznej. Wybór właściwego rodzaju zabezpieczeń należy skonsultować z autoryzowanym dystrybutorem firmy Siemens”.

Jako długoletni użytkownik telefonu pamiętam, że w zamierzonych czasach instalacja telefoniczna była zaopatrzona w puszkę z bezpiecznikami przepięciowymi. Dlaczego z tego zrezygnowano? Słyszałem od specjalistów, że jakość urządzeń zabezpieczających zależy w dużym stopniu od jakości uziemienia, ale cały kłopot polega na tym, że na terenie Anina niestychanie trudno uzyskać dobre uziemienie.

Mieszkaniec Anina



MIĘDZY NAMI ANINIANINAMI



Redaguje zespół:

Monika Bucewka, Maria Choderek,

Alicja Francman, Hanna Orkisz, Maria Sieczkowska, Jadwiga Szymczak
przy współpracy z Kołem Przyjaciół Anina, oraz z Wypożyczalnią nr 87 im. K.I. Gałczyńskiego
i Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości w Aninie

Adres do korespondencji: 04-605 Warszawa, ul. III Poprzeczna 3
Ksero: Nasz Sklep, 04-642 Warszawa, ul. Zambrowska 8/10

